

Rozdział 1

Do biblioteki idzie się tak: najpierw trzeba przejść przez nasze podwórko, a potem przez ulicę i przez następne podwórko po drugiej stronie. Tutaj jest salon kosmetyczny i laboratorium pana Adama Duchowicznego, w którym robi on różne kremy i inne kosmetyki. Tam zawsze mocno pachnie, ale nigdy nie wiadomo, czy zapach będzie przyjemny czy nie – istna loteria, jak mówi Dziadzio. Dzisiaj pachniało ładnie, chociaż trochę kręciło w nosie. Tuż obok laboratorium ma swoją pracownię krawiec, który ciągle się sprzecza z panem Adamem o te zapachy, bo mówi, że go przez nie głowa boli. Myślę, że może mieć rację, bo przecież jak się siedzi cały dzień, wachając takie różności, to rzeczywiście można mieć dosyć. Po minięciu tego podwórka wychodzi się na ulicę i trzeba iść w lewo, przejść na drugą stronę i skręcić w Twardą, która biegnie po łuku. Po drodze są: sklep z delikatesami i zwyczajny sklep spożywczy, prowadzony przez państwa Szurman, a zaraz obok – skup książek i księgarnia pana Mirskiego. Dochodzi się aż do pralni i tu znowu trzeba przejść na drugą stronę do budki z warzywami, a potem idzie się ulicą Ciepłą. Na Ciepłej nie ma nic szczególnie

ciekawego oprócz mydlarni Kaminera z krzywym, czerwonym szyldem. Trzeba dojść do skrzyżowania i znowu skręcić w lewo. Mija się sklep z meblami giętymi. Po bokach witryny, na murze, wymalowane są krzesła i duży napis „Kasiczak”, bo tak się nazywa właściciel sklepu. Gdy się dojdzie do skrzyżowania, tam, gdzie w chodniku jest wielka dziura, trzeba przejść na drugą stronę, skręcić w prawo i iść prosto przed siebie. Tu najlepiej za bardzo się nie rozglądać. Nie ma żadnych sklepów, tylko same warsztaty i kręci się dużo różnych ludzi, którzy chcą dostać pracę, oni na ogół nie są zbyt mili i wszystkich zaczepiają, a nawet potrafią coś zabrać człowiekowi siłą. Zawsze, gdy tędy idę, mam przy sobie jakąś książkę z biblioteki, więc najczęściej ten odcinek drogi staram się przebiec. Biegam szybko i raz dwa dobiegam do mostu. Przed mostem zwalням, bo tu jest bardzo dużo ciekawych rzeczy do oglądania. Mnóstwo sklepików, mały bazar z ubraniami, a czasami nawet sprzedają tu kwiaty. Wbiegam po drewnianych schodach na most, szybko przechodzę nad ulicą, bo na moście nie można się zatrzymywać i jest zawsze okropny tłok. Ten most zbudowano zaledwie kilka dni temu, deski jeszcze pachną żywicą. Staram się iść blisko barierki i patrzę w dół, szczególnie jeśli akurat jedzie tramwaj. Ulicą w dole chodzą ludzie, ale inni, i zazwyczaj nie ma ich zbyt wielu. Po drugiej stronie ulicy schodzi się z mostu po schodach i wraca się na Żelazną – to niedaleko. Po drodze jest cukiernia pana

Jagody, tam też pachnie, ale zawsze ładnie. Jest jeszcze kawiarenka Albatros i wytwórnia pudełek z tektury pani Głowackiej. Pani Głowacka nosi bardzo dużo spódnic naraz i wełniany paltocik nawet w lecie – mówi, że ciągle jest jej zimno. Najczęściej siedzi sobie na krzeselku przy bramie i wypatruje w tłumie znajomych, bo bardzo lubi rozmawiać. Dziadzio mówi, że pani Głowacka dużo bardziej lubi rozmawiać niż robić pudełka – coś w tym jest.

Na rogu skręca się przy cukierni Sommera. Znowu lepiej biec, bo i tu są same warsztaty i fabryczki – na przykład przetwórnia spożywcza Avilo i hurtownia marmolady Karmen. A gdy się dobiegnie do skrzyżowania, to właściwie człowiek już jest u celu. Trzeba skręcić w prawo, po drodze jeszcze jest fabryka artykułów szklanych braci Starosznajder, a po drugiej stronie ulicy stoi kamienica, w której mieszczą się zakłady krawieckie i fabryka Browna i Rowińskiego – gdyby pójść w tamtą stronę, za wysokimi oknami można by zobaczyć pracownię, w której różne panie robią swetry i szaliki na specjalnych maszynach. Mija się jeszcze zakład jubilerski i już – Leszno 67. Tu trzeba wejść na podwórko otoczone kamienicami, wbiec po schodach na górę i jest się na miejscu. W bibliotece. To moje najbardziej ulubione miejsce w całej Dzielnicy.

W bibliotece jest zawsze sporo ludzi, ale wcale się nie spieszą. I jest cicho – nikt nie krzyczy, nie awanturuje się ani nic. Najbardziej lubię, kiedy wypożycza pani Basia,

ale ostatnio, niestety, spotykam ją coraz rzadziej. Najczęściej za biurkiem siedzi jakaś dziewczyna – co rusz to inna. Pani Basia mnie zna i zawsze doradza mi taką książkę, która jest naprawdę emocjonująca. A te inne dziewczyny wcale się nie znają na książkach, no przynajmniej nie znają się na takich, które są moim zdaniem ciekawe. Patrzą na mnie, uśmiechają się i sądzą, że skoro jestem taki mały, to muszą – po prostu muszą! – dać mi coś cienkiego z obrazkami, a kiedy się upieram, że nie chcę, to w ostateczności proponują „Doktora Dolittle”. Nie mam nic przeciw „Doktorowi Dolittle”, bardzo mi się podobał. Ale to było kiedyś, rok temu albo i dawniej, gdy jeszcze nie miałem nawet siedmiu lat. Teraz przeczytałem właśnie „Dwa lata wakacji” Juliusza Verne’a, to bardzo gruba książka i wcale nie dziecinna, chociaż opowiada o dzieciach.

Dzisiaj nie ma pani Basi. Za biurkiem siedzi młoda blondynka w zielonej bluzce. Uśmiecha się do mnie i mówi:

– Chciałbyś książeczkę, malutki?

Patrzę na nią z bardzo poważną miną. Książeczkę! Malutki!

– Wcale nie jestem malutki – odpowiadam niskim głosem, wydaję Verne’a spod swetra i kładę na biurku, a potem dodaję z naciskiem: – Oddaję KSIĄŻKĘ.

Dziewczyna przechyliła głowę i przygląda mi się z lekkim rozbawieniem w oczach, ale zaraz potem poważnieje.

– A jak się nazywasz?

– Rafał Grzywiński.

Bierze zeszyt, gdzie zapisani są wszyscy wypożyczający książki, i odszukuje moje nazwisko. Obok niego jest bardzo długa lista tytułów, które już przeczytałem, chociaż przychodzę tu dopiero od kilku miesięcy, odkąd Dziadzio mnie zapisał. Co miesiąc daje mi pięć złotych, bo tyle tu kosztuje czytanie książek. I za te pięć złotych można przeczytać tak wiele książek, ile się tylko chce! Moim zdaniem wychodzi to niezwykle tanio.

Dziewczyna znajduje moją kartę, zapisuje, że oddałem książkę.

– Sam przeczytałeś? – pyta.

Kiwam głową. Pewnie, że sam przeczytałem. I to za ledwie w pięć dni!

– No, no, no! – mówi dziewczyna z podziwem, a ja uśmiewam się do niej po raz pierwszy.

– A, czyli umiesz – stwierdza dziewczyna.

– Co umiem? Czytać? – pytam.

– Nie. Uśmiewać się.

– Każdy umie. – Wzruszam ramionami.

Dziewczyna przygląda mi się przez krótką chwilę poważnym wzrokiem i cicho mówi:

– Niestety, nie każdy... A co byś chciał teraz?

– Coś dobrego.

– Verne'a?

– Może być. Lubię takie książki.

– Fantastyczne? Poczekaj.

Wstaje i idzie do innego pomieszczenia, w którym znajdują się szafy z książkami. Najchętniej poszedłbym za nią i sam poprzeglądał tytuły, ale tego nie wolno czytelnikom – książki przynoszą bibliotekarki. Chociaż pani Basia pozwala mi niekiedy tam wchodzić, bo dobrze wie, że ja bardzo szanuję książki i nigdy żadnej bym nie ukradł. No nic – wzdycham. Jestem pewny, że ta dziewczyna przyniesie mi coś głupiego i albo będę się musiał kłócić, albo wrócić jutro.

Wraca i kładzie na biurku książkę. Nie dość, że małą, to w dodatku jeszcze cienką.

– Spodoba ci się – mówi.

Sięgam po nieduży tomik i ze sceptyczną miną patrzę na okładkę. „Wehikuł czasu”, H.G. Wells. Na okładce namalowany jest szary potworek. Stoi na cienkich, koślawych nogach, wyciąga przed siebie szponiaste łapy. Ma wielkie oczy i uszy, małą mordkę. Szczerzy zęby. Obok niego w czerwonym kółku umieszczono napis „95 groszy”.

– Cienka – mówię.

– Ale ciekawa.

– A co to za potworek?

– To Morlok.

– Co to jest Morlok? – pytam.

– Przeczytaj, to się dowiesz. – Dziewczyna uśmiecha się przekornie.

– Bo ja wiem... – Kartkuję książkę, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś głupich obrazków. – A o czym to jest?

– O podróżowaniu w czasie – tajemniczo odpowiada dziewczyna.

Brzmi ciekawie. Chciałbym móc podróżować w czasie, choć nie wiem, czy wolałbym wyprawić się w przyszłość czy w przeszłość – zastanawiałem się już nad tym. Tak czy siak, z pewnością warto by mieć taką możliwość.

– Za pomocą wehikułu? – upewniam się.

– Tak.

– A pani to czytała?

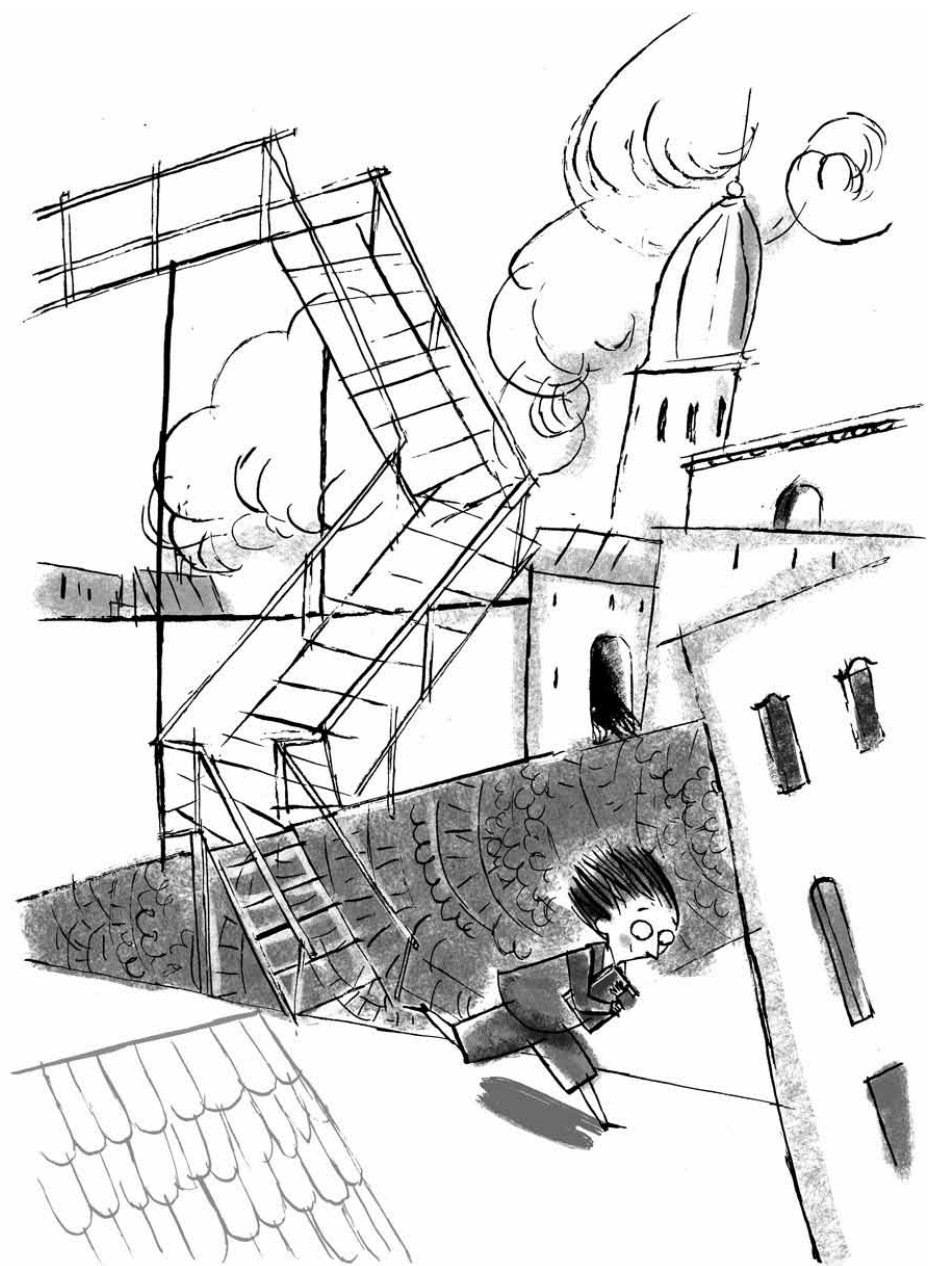
– Jaka pani! – Śmieje się dziewczyna. – Jestem Janka. Czytałam i polecam z czystym sumieniem.

– No, dobrze – wzdycham. – Niech już będzie.

Janka znowu śmieje się głośno i wpisuje „Wehikuł czasu” do mojej karty.

– Będę w bibliotece w piątek – mówi. – Przyjdź wtedy. Dam ci „Profesora Przedpotopowicza”, to też bardzo dobre.

Kiwam głową, chowam książkę pod swetrem i wybiegam z biblioteki. Dochodzi czwarta, Dziadzio niedługo wróci. Przebiegam przez drewniany most nad Chłodną i pędzę do naszego mieszkania przy Siennej. Chodnikami suną tłumy przechodniów, riksarze pokrzykują, przeganiając pieszych z jezdni, ich z kolei pogania



dzwonek tramwaju konnego, który z klekotem sunie środkiem ulicy. Chłopcy sprzedający gazety i papierosy nawołują kupujących, przekupki sprzedające cukierki zachwalają głośno swój towar, żebracy proszą o pieniądze lub jedzenie. Hałas i rwetes – jak zawsze w Dzielnicy. Biegnę między ludźmi, wymijam ich slalomem, nie potracając nikogo po drodze. Mam już wielką wprawę w takim bieganiu, zresztą gdy się biegnie, człowiekowi jest cieplej. Co prawda początek lutego jest w tym roku całkiem ciepły, nie ma nawet śniegu, ale jednak się marznie. Po kilkunastu minutach jestem na naszym podwórku. Wspinam się po schodach, pukam do drzwi mieszkania i czekam, aż pani Brylant mi otworzy. Działdzo nie daje mi klucza, boi się, żebym go nie zgubił. Zresztą przecież wcale nie jest mi potrzebny – pani Brylant nigdy nie wychodzi. Słyszę jej człapanie w przedpokoju i szcęk odblokowywanych zamków, a po chwili jestem już w domu.

Rozdział 2

Kiedys wszystkie pokoje i kuchnia w naszym mieszkaniu należały do Dziadzia. Gdy sobie dziś o tym myślę, wydaje mi się to całkowicie nieprawdopodobne, bo pokoje są trzy – po co właściwie jednemu człowiekowi tyle miejsca? Ale tak było i ja to nawet pamiętam, choć ledwo, ledwo. Teraz w największym pokoju mieszka pani Brylant z mężem i dwoma synami oraz szwagierką. Państwo Brylant są bardzo starzy (choć nie tak bardzo jak mój Dziadzio), a ich synowie są dorośli. Wszyscy pracują, tylko nie pani Brylant, bo ma chore nogi. Ale czasami pani Brylant dorabia sobie wrózeniem. Stawia karty albo rzuca obierki z ziemniaków do miski i mówi różnym paniom i panom, co w nich widzi. Oczywiście to całkowita nieprawda – czasami (choć wiem, że to nieładnie) podsłuchuję pod drzwiami pokoju, jak pani Brylant urządza taki seans. Niekiedy to jest bardzo śmieszne. Raz śmiałem się tak mocno, że aż mnie usłyszała.

– Widzę... Widzę... – mówiła pani Brylant. – Widzę wysokiego mężczyznę obok pani. Ma pani brata?

– Nie mam – odpowiedziała pani, która przysłała na wrózenie.

– To nie brat – stwierdziła pani Brylant. – A ojca pani ma?

– Ojciec mieszka we Lwowie – wyjaśniła pani.

– Tak, to nie jest ojciec. Widzę wyraźnie. A jest jakiś mężczyzna w ogóle obok pani?

– Obok? Obok to tylko sąsiad mieszka i to on mi powiedział...

– Właśnie! – zawołała pani Brylant. – To sąsiad!

– Ale ten sąsiad niezbyt wysoki. Niższy ode mnie.

– Tak, tak, niewysoki. Przecież mówiłam, że niewysoki. On ma przychylne uczucia do pani. On chce się z panią żenić.

– Ale ten sąsiad ma siedemdziesiąt pięć lat!

– A, owszem. Tu wyraźnie widzę, że starszy. A pani sama mieszka?

– Z matką.

– No właśnie! On się chce z pani mamą żenić.

– Ale on już ma żonę! – wykrzyknęła pani. – Razem mieszkają!

– A czy ja pani mówiłam, że to jest porządny człowiek? Pani musisz uważać na niego. Zły człowiek. Żle pani życzy.

– Ale to jest bardzo miły staruszek – zaprotestowała pani. – Właśnie on mi pani adres dał i powiedział, że bym przyszła na wróżbę. Mówił, że jest pani krewnym, też się Brylant nazywa. My mieszkamy na Zamenhofa. Wie pani, o kim mówię?

– Wiem, wiem... – słabym głosem powiedziała pani Brylant. – To wujcio mój, ale ja... To znaczy... Mi chodziło o kogoś innego... O, a tu! Tu widzę, że panią wielkie szczęście spotka! Już niebawem!



Nie wytrzymałem dłużej i zacząłem się tak śmiać, że aż mi łzy poleciały, no i mnie przyłapała. Ale potem, jak już ta pani sobie poszła, to pani Brylant też się z tego śmiała.

W drugim pokoju mieszkają pan Boc, jego dwie siostry, dzieci tych sióstr i jeszcze kuzyn. Dzieci jest czworo i są w różnym wieku – trochę młodsze i trochę starsze ode mnie. Nie bawimy się jednak razem, bo mówią w obcym języku, którego nie rozumiem, a one się ze

mnie przez to śmieją, bo podobno wszyscy w Dzielnicy znają ten język, tylko ja jeden nie. To nieprawda, jest sporo osób, które mówią tylko po polsku, wiem to od pani Basi. Zresztą pana Boca, jego siostr i dzieci oraz kuzyna całymi dniami nie ma w mieszkaniu. Wracają dopiero tuż przed siódmą, a potem zazwyczaj nie wychodzą z pokoju aż do rana, więc choć mieszkamy ze sobą przez ścianę, rzadko ich spotykam.

W kuchni mieszka pani Aniela, nauczycielka. Pani Aniela jest prawie tak samo stara jak Dziadzio i uczy mnie czasami różnych ciekawych rzeczy – na przykład geografii i fizyki – ale tylko wtedy, kiedy nie jest smutna. Pani Aniela ma melancholijną naturę, tak mówi Dziadzio, i najczęściej siedzi w kuchni przy oknie, patrzy w niebo i wzdycha albo płacze. Zapytałem kiedyś, czemu jest ciągle smutna. Powiedziała, że tęskni za swoją rodziną, która wyjechała za ocean, a ona nie zdążyła wyjechać z nimi. Zdziwiłem się, bo co to za powód do smutku? Moi rodzice też wyjechali daleko, daleko – aż do Afryki – i to tak bardzo dawno temu, że prawie ich nie pamiętam. Pewnie, że wolałbym być tam z nimi, ale nie jestem, bo się nie udało. W tej Afryce jednak jest im na pewno dużo lepiej, niż byłoby, gdyby zostali tu, w Dzielnicy. Więc to wcale nie jest powód do smutku, tylko do radości! Czasami, kiedy jest mi bardzo źle, to sobie myślę o mamie i tacie, że są bezpieczni w tej dalekiej Afryce, i od razu mi się robi weselej. Powiedziałem

o tym pani Anieli, ale ona stwierdziła, że jestem mały i nic nie rozumiem, a potem zaczęła mocniej płakać. Jestem mały, to fakt. Ale rozumiem bardzo dużo, więc trochę się na nią wtedy obraziłem.

My z Dziadziem mieszkamy w najmniejszym pokoju, którego okna wychodzą na Sienną. Mamy balkon, na którym stoją skrzynki, a w nich wiosną, latem i jesienią rośnie cebula i rzodkiewki – ja je podlewam i bardzo o nie dbam. Gdy jest ładna pogoda, często siedzę sobie na balkonie, na krzeselku (nawet zimą, gdy nie ma dużego mrozu), i czytam książki z biblioteki albo patrzę na to, co się dzieje na ulicy.

Na Siennej jest spokojniej niż na innych ulicach w Dzielnicy, ale i tak zawsze jest co oglądać. Z naszego balkonu widać skrzyżowanie Siennej z Sosnową. W narożnym domu jest Café Hirschfeld – to najbardziej luksusowa kawiarnia w całej Dzielnicy i wszystko w niej jest bardzo drogie, nawet zwyczajna kawa zbożowa. Przyjeżdża tu mnóstwo eleganckich państwa na riksach, szczególnie po południu. Dziadzio kilka miesięcy temu pracował w tej kawiarni i opowiedział mi, jak tam jest, a parę razy udało mu się nawet zabrać dla mnie ciastka. Były to najpyszniejsze ciastka, jakie w życiu jadłem.

Zaraz obok kawiarni jest kiosk z tytoniem, prowadzony przez pana Brylanta. Czasami, gdy pani Brylant ma do niego jakąś pilną sprawę, przychodzi na nasz

balkon i woła do męża. Ona ma chore nogi, ale gardło ma całkowicie zdrowe – potrafi tak krzyknąć, że słyszą ją aż na Pańskiej, a to przecież dwie ulice stąd.

Z balkonu widać też sklep spożywczy, w którym robimy zakupy, oraz pracownię krawiecką pana Mordki z bardzo pięknym i bardzo niezwykłym manekinem na wystawie. Jego niezwykłość polega na tym, że jest koloru zielonkawego – ma zielonkawą skórę, szmaragdowe, malowane oczy i ciemnozielone włosy poproszone srebrną farbą. Tylko usta ma czerwone jak żywy człowiek.



Pan Mordka przebiera tego manekina dwa razy w miesiącu, szyje mu specjalne piękne suknie i cała ulica chodzi je potem oglądać. U pana Mordki ubierają się najbogatsze, eleganckie panie, które przyjeżdżają do kawiarni na rogu Sosnowej i Siennej, bo stroje szyte przez pana Mordkę są bardzo kosztowne.

Dalej, za pracownią krawiecką, trochę po skosie od nas, jest jeszcze zburzony dom. Prawie nic z niego nie zostało, tylko wielka sterta gruzu – w tę kamienicę uderzyła bomba i ja to pamiętam. No i z grubsza to wszystko, bo następnych domów już nie widać zbyt dobrze z balkonu.

Bardzo rzadko wychodzę z mieszkania, bo Dziadzio mi nie pozwala. Mówi, że przysięgał moim rodzicom, że będzie się o mnie troszczył i nie chce, żebym biegał po Dzielnicy, ponieważ to może być dla mnie niebezpieczne. Kiedy jesienią otwierano w Dzielnicy pierwsze szkoły dla dzieci (bo wcześniej, przez dwa lata, ich nie było ze względu na wojnę), myślałem, że i ja pójdę do jednej z nich. Co prawda przyjmowały tylko dzieci między ósmym a dziesiątym rokiem życia, a ja jeszcze nie miałem ośmiu lat, ale myślę jednak, że zrobiono by dla mnie wyjątek, gdybym ładnie poprosił. Jednak Dziadzio powiedział, że nie ma mowy, żebym poszedł do szkoły, bo raz – jestem za mały, a dwa – na pewno zaraz złapałbym wszy, a może i jakąś chorobę. Byłem na niego bardzo zły i nawet się popłakałem z tej złości, ale potem zrobiło mi się wstyd, bo przecież wiem, że Dziadzio chce dla

mnie jak najlepiej. Zresztą nie muszę chodzić do szkoły, bo Dziadzio mnie wszystkiego uczy sam. Polskiego i historii oraz innych rzeczy też. Nauczył mnie czytać. Bardzo szybko się uczę wszystkiego, z wyjątkiem – niestety – grania. Dziadzio próbował nauczyć mnie gry na skrzypcach, co zresztą bardzo mi się podobało. Pokazał mi, jak trzymać skrzypce i smyczek, które struny przyciskać i jak. Grałem tak przez całe jedno popołudnie, a Dziadzio siedział na krześle, patrzył i słuchał. Kiedy skończyłem – uważam, że w sumie naprawdę nieźle mi poszło, bardzo się starałem i byłem ogromnie zadowolony z efektu – powiedział, że niestety należę do tych ludzi, których muzykowanie dostarcza wielkiej rozkoszy, ale tylko i wyłącznie im samym. Nie do końca to pojąłem, ale zrozumiałem, że nie zostanę skrzypkiem. Nie przejąłem się zbytnio, bo co tam – będę miał więcej czasu na czytanie książek. Na szczęście, po moich usilnych i bardzo częstych prośbach, Dziadzio zgodził się wreszcie na moje wyprawy do biblioteki. Jednak zanim to nastąpiło, bardzo długo się zastanawiał. Potem robił próby – siedłem sam, a on za mną, ale w dużej odległości. Sprawdzał, czy znam drogę i czy nic mi się nie stanie. Wreszcie powiedział, że mogę chodzić do biblioteki, ale przyłapałem go potem jeszcze dwa razy, gdy siedł za mną po kryjomu, i byłem wtedy bardzo zły na niego.

A, i jeszcze czasami chodzę na zakupy do sklepiku przy Siennej, ale to już nieczęsto – tylko wtedy, gdy

Dziadzio żadną miarą nie może iść sam, a akurat przywieziono coś dobrego. Jedzenie, które można tam kupić, jest na specjalne kartki i nie ma go zbyt dużo. Najczęściej zakupy robi jednak Dziadzio albo siostra pana Brylanta, która dostaje za to od nas trochę pieniędzy.

Dziadzio jest skrzypkiem i przed wojną był bardzo sławny – wielu ludzi wiedziało, kim jest, i często pisano o nim w gazetach, bo występował w filharmonii. Filharmonia to jest takie miejsce, gdzie gra naraz bardzo wielu muzyków na specjalnej scenie, a na sali siedzi mnóstwo elegancko ubranych państwa i słuchają. Teraz już nie ma takiej filharmonii, choć od czasu do czasu odbywają się w Dzielnicy koncerty muzyki klasycznej. Są jednak zbyt rzadkie, żeby dało się z nich wyżyć, więc Dziadzio w ciągu dnia chodzi po Dzielnicy i gra na podwórkach, a ludzie rzucają mu pieniążki albo chleb z okien. Po południami Dziadzio chodzi do kawiarni albo do restauracji i tam gra, żeby państwu, którzy jedzą kolację i piją kawę, było weselej. Czasami Dziadzio też gra na różnych spotkaniach towarzyskich albo w teatrze, ale rzadko. Dodatkowo jeszcze od czasu do czasu uczy grać na skrzypcach różne dzieci albo i dorosłych. Dostaje pięć złotych za godzinę nauki – za jedną godzinę dostaje tyle, ile wynosi opłata biblioteczna za cały miesiąc! Dlatego uważam, że czytanie książek jest tanie.

Kiedyś chodziłem z Dziadziem po podwórkach. On grał, a ja biegałem i zbierałem do czapki albo do

lnianego woreczka pieniądze i jedzenie. Lubiłem to, chociaż naprawdę trzeba się było sporo naga-
niać. Ale któregoś dnia Dziadzio został złapany na ulicy przez SS-mana i ten żołnierz go zbił. Nie bardzo, tylko trochę, jednak wystraszyłem się ogromnie i głośno płakałem, bo byłem jeszcze mały. Potem Dziadzio powiedział, że już nie będę z nim chodził. Siedzę więc w mieszkaniu i czasami martwię się o niego, czy mu się aby nie stanie coś złego, no, lecz co zrobić – pieniądze przecież są nam potrzebne, a Dziadzio inaczej nie umie ich zarabiać jak tylko graniem. Ale to, że siedzę w domu, nie znaczy, że nic nie robię, bo mam dużo ważnych obowiązków! Na przykład sprzątam nasz pokój, a w niektóre dni, gdy akurat mamy coś do ugotowania, przygotowuję



w kuchni obiad dla nas. Pani Aniela mi pomaga, jeśli akurat nie jest na to zbyt smutna.

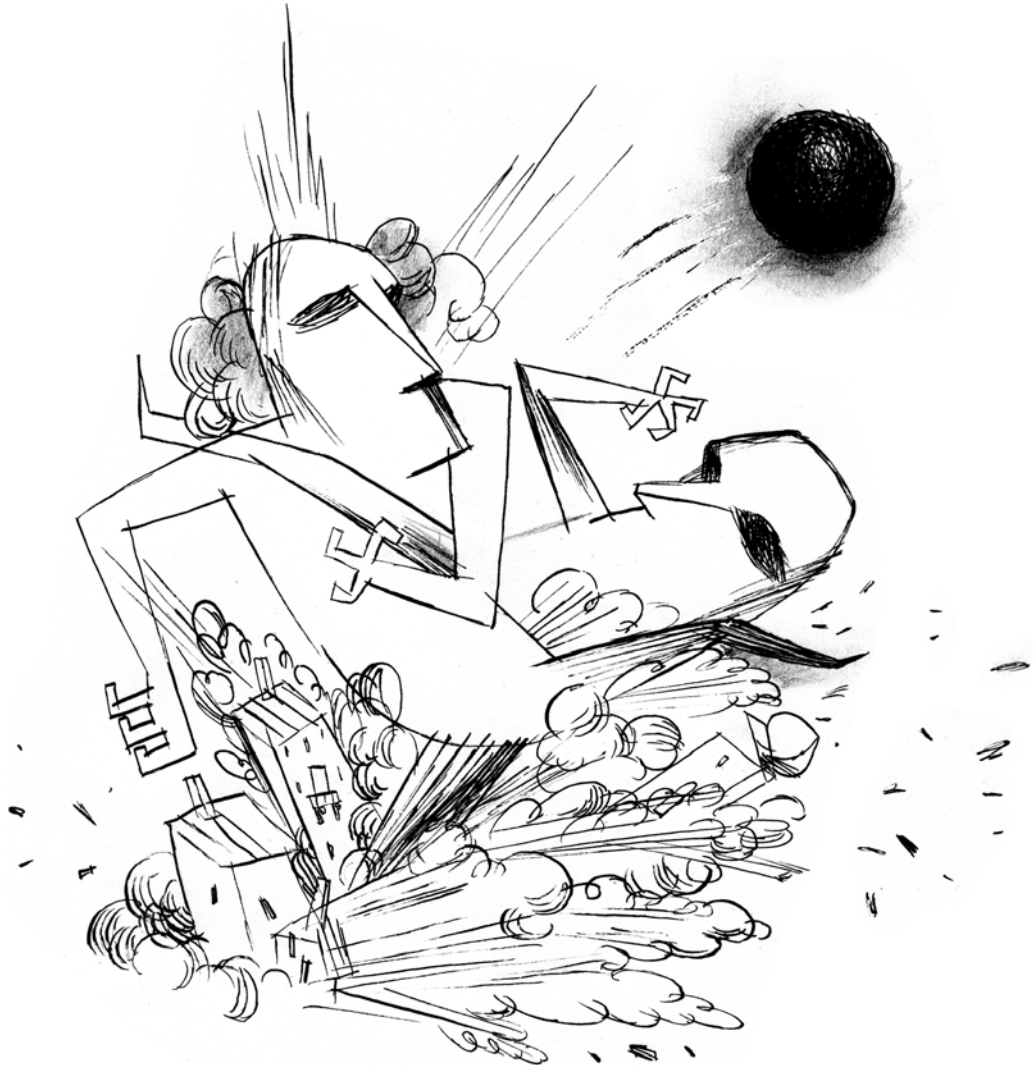
Czytam też oczywiście książki i dużo myślę. O wynalazkach albo o KIEDYŚ. To KIEDYŚ dotyczy tego, co było, i tego, co będzie. Myślę więc o tym, co będę robił KIEDYŚ – że będę wynalazcą i będę odkrywał różne niesamowite rzeczy. Na przykład jadalną trawę albo lekarstwo na starość. Albo składane skrzydła – chciałbym wynaleźć takie składane skrzydła, które każdy nosiłby ze sobą w kieszeni i przypinał sobie, gdy znudzi mu się chodzenie. Sądzę, że ludziom bardzo podobałby się taki wynalazek – mnie by się podobał z pewnością. Opowiadam czasem o tych moich pomysłach Dziadziowi, a on nigdy się ze mnie nie śmieje, chociaż niektóre są bardzo niezwykle. Dziadzio mówi, że naukowcy i wynalazcy to tacy ludzie, którzy potrafią zamienić prawdopodobieństwo w rzeczywistość, a moje pomysły – chociaż niezwykle – są prawdopodobne, to znaczy można by je zrealizować, gdyby się odkryło, jak to zrobić. Skoro więc moje pomysły są prawdopodobne, to oznacza, że myślę naukowo, i jego zdaniem z pewnością będę KIEDYŚ wielkim wynalazcą.

Drugie KIEDYŚ, o którym myślę, dotyczy tego, co było. KIEDYŚ nie było wojny ani Dzielnicy. KIEDYŚ można było sobie wyjechać z miasta na wieś albo do lasu, albo nad rzekę, a nawet nad morze. KIEDYŚ byli ze mną rodzice i mieszkaliśmy wszyscy razem na Saskiej

Kępie. Podobno, bo ja tego prawie wcale nie pamiętam – tylko jakieś oderwane momenty, a i tych nie jestem pewny, czy mi się przypadkiem nie śniły. Rodzice wyjechali do Afryki, gdy miałem trzy lata, a ja zamieszkałem u Dziadzia. Miało to trwać rok, najdłużej dwa lata – aż mama i tata zbudują w Afryce dom, urządzą się tam i przysłą nam pieniądze, żebyśmy mogli pojechać do nich. Niestety nie zdążyli, bo zaczęła się wojna. Na początku pisali do nas często. Potem listy przychodziły rzadziej, a gdy w końcu powstała Dzielnica, listy się skończyły. Nie dlatego, że rodzice przestali pisać – jestem pewny, że ciągle wysyłają do nas wiadomości, ale one po prostu do nas nie docierają, bo Dzielnica została zamknięta.

KIEDYŚ podobno wcale nie miało większego znaczenia, jakiego kto był pochodzenia, tylko liczyło się to, jakim jest człowiekiem. Każdy mieszkał, gdzie chciał, bez względu na to, jakie miał nazwisko, w co wierzył i jaki miał kolor skóry, włosów czy oczu. Dlaczego ja tego nie pamiętam? Przecież jak się ma pięć czy sześć lat, to człowiek już potrafi mówić i dużo się pamięta!

Pamiętam początek wojny i bombardowania – wcale się ich nie bałem. Dziadzio zabierał mnie do piwnicy, ale mówił, że to taka zabawa, i śmiał się, więc i ja się śmiałem. Gdy niedaleko spadała bomba i wszystko się trzęsło, a z sufitu piwnicy spadał kurz, Dziadzio mówił, że to olbrzymy grają w piłkę i że z nimi istne skaranie



boskie. Naprawdę wierzyłem w te olbrzymy i byłem ich bardzo ciekaw. Żałowałem, że nie możemy wyjść popatrzeć, ale chowanie się w piwnicy też było ciekawe, więc nie narzekałem. Potem pojawili się niemieccy żołnierze i zaczęło przyjeżdżać coraz więcej ludzi, których wypędzali z różnych miasteczek wokół Warszawy. Nawet

się nie zorientowałem, kiedy – i że w ogóle – powstała Dzielnica i że nas w niej zamknęto.

Mam wrażenie, że mieszkam tu od zawsze. Że od zawsze jest Dzielnica, że od zawsze jest za mało jedzenia i za dużo ludzi. Że od zawsze jest wojna, i że trzeba ciągle pamiętać, żeby się bać – nawet wtedy, gdy człowiek nie czuje strachu. Jestem tym niekiedy mocno zmęczony. Myślę, że gdybym pamiętał rodziców, rzekę, las i tę naszą Saską Kępę, byłoby mi dużo łatwiej. Dlatego bardzo przydałby mi się taki wehikuł czasu. Najpierw wyprowadziłbym się nim do dawnego KIEDYŚ i zobaczył, jak to było, kiedy mieszkaliśmy na Saskiej Kępie. A potem wyprowadziłbym się do przyszłego KIEDYŚ i zobaczył, jakie wynalazki stworzyłem oraz kiedy skończyła się wojna. Bo wszyscy mówią, że wojna KIEDYŚ się skończy, a skoro wszyscy to mówią, to tak na pewno będzie, chociaż trudno w to uwierzyć. Może w tej książce z biblioteki będzie instrukcja, jak skonstruować wehikuł czasu? Zacznę ją czytać zaraz po obiedzie, gdy Dziadzio pójdzie grać do kawiarni. A tymczasem muszę zrobić obiad, bo już jest grubo po czwartej!

Pani Aniela ma dziś dobry dzień i pomaga mi zrobić placki z ziemniaków. Trochę się rozlatują, bo mieliśmy tylko jedno jajko, ale wyglądają ładnie, a jeszcze ładniej pachną. Akurat udaje mi się z nimi zdążyć, gdy przychodzi Dziadzio. Odkłada ostrożnie futerał ze skrzypcami na szafkę obok tapczanu – te skrzypce

są najcenniejszym przedmiotem, jaki posiadamy. Mają bardzo dużo lat i podobno KIEDYŚ jakiś pan chciał je odkupić – zaproponował tyle pieniędzy, że wystarczyłoby na nowe auto! Na szczęście Dziadzio ich nie sprzedał, bo z czego byśmy dziś żyli? Teraz już nie wolno mieć samochodów – na pewno nie w Dzielnicy. Dziadzio idzie umyć ręce i siada przy stole.

– Niebo w gębie – mówi, kiedy zaczyna jeść. – Co dziś robiłeś?

– Byłem w bibliotece – wyjaśniam.

Placki są naprawdę w porządku, pani Aniela dała mi do nich trochę soli. Szybko kończę pierwszy i nakładam sobie drugi placek.

– Znowu w bibliotece – mruczy Dziadzio. – Uważałeś po drodze?

– Przecież zawsze uważam. – Wzruszam ramionami.

– Dopiero co wypożyczyłeś takie grubachne tomszyczki... Była pani Basia?

– Nie, jakaś nowa dziewczyna siedziała. Janka ma na imię. Dała mi fajną książkę.

– Jaką?

– „Wehikuł czasu”.

Dziadzio marszczy brwi, sięga po drugi placek.

– To chyba za dorosła książka dla ciebie.

– Wcale nie – protestuję natychmiast. – Przejrzałem ją i wszystko rozumiem. A jak będą trudne słowa, to sprawdzę w słowniku albo zapytam panią Anielę.

– Nie o to mi chodzi.

Na talerzu zostaje ostatni placek.

– Nałóż sobie – mówi Dziadzio.

– Już się najadłem – odpowiadam.

– Nie najadłeś się – wzdycha Dziadzio. – Weź.

– Kiedy już nie chcę. Niech dziadek zje.

Ziemniaków starczyło na pięć placków. Ja zjadłem dwa, a trzy były dla Dziadzia. Po pierwsze dlatego, że jest dużo większy ode mnie, więc potrzebuje zjeść więcej – to logiczne. A poza tym on pracuje, a ja nie. Skoro siedzę ciągle w domu, nie potrzebuję przecież dużo jeść – chociaż mój żołądek niestety chyba uważa inaczej. Ale co tam. Poza tym może pani Brylant mi coś da na kolację – czasami daje.

– Ja jeszcze zjem w kawiarni – oznajmia Dziadzio.

– Może tak, a może nie.

– Dobrze, to zrobimy tak. – Dziadzio kroi placek na pół, jedną część kładzie na moim talerzu, a drugą na swoim. – Może być? Krakowskim targiem.

Uśmiecham się do niego, a potem zjadam swoją połówkę ostatniego placka. Smakuje jeszcze lepiej niż pierwszy.